



STEFAN ŻEROMSKI

Aryman mści się


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN ŻEROMSKI

Aryman mści się

Zbliżając się do szczytu wyniosłości życia, zwracał jeszcze spojrzenie w stronę krainy przebytej. Strudzone stopy ociężałe dźwigały wiek jego nędzny i ciężki, jak bryłę ołowiu, do ziemi nieznajomej, co się daleko ukazać miała. Ostrymi łokciami wparła się w jego ramiona uporczywa zgryzota i plecy mu w pałąk wygięła. Zelzały już rzemienne popręgi życia wśród blasku i wówczas widoczną była każda sina blizna, którą mocno i głęboko wypaliły. I serce, po tysiąc razy nasycone, już nie łaknęło.

Daleko w nizinach został ów czas, kiedy tak wszystko smakowało duszy, jak sama chciała. Skinienie ręki, na którego widok tłum rozstępuje się i ucieka, jakby go uderzał blask grotów włóczy schylonych i mieczów wydobytych; skinienie ręki, na którego widok czołga się do stóp nieznany człowiek, jakby go ciągnął powróż siepacza — znudziło się i obmierzło.

I w rzeczach wszystkich, które ujmuje posiadanie, widać było tylko zgryzotę.

O, gdyby można było wrócić się tą samą drogą, o, gdyby można iść wstecz i raz jeszcze ujrzeć, co się już widziało, — ku dalekim dolinom, we mgłach tęskniczy roztopionym! Wrócić się do widzeń serca, zobaczyć znowu świat nieprawdziwy, odbity w oczach dziecka... Zważać w milczeniu, jak pod sercem, pełnym zdrad i wybiegów, poczyna się tajemne, sobie tylko samemu wiadome westchnienie i przewodniczy orszakowi myśli nowonarodzonych, które za niem idą w stronę mądrości...

Raz jeszcze temu wzruszeniu zaufać!

Tam w tych dolinach zostało się szczęście, które nie trwało dłużej nad czas jednej jutrzenki, a zwiędło, podobne do kwiatu wiosny na niwie, gdy wysoko wzbije się skwarne słońce...

A kiedy na obraz ciosów dzwonu za umarłych, które rozbijają ciszę poranka, twarda świadomość roztrącała westchnienie, głośnie, że dni szczęścia już się nie wrócą, już się nie wrócą, jak śnieg, z chmur spadły, na dawne miejsce w przestworzu, — wzniosł ciężką rękę, aby zatrzaskać drzwi miedziane. Na zawsze utracić opuszczone już życie, rozległe siedlisko żalu. Przestać uczuwać potrzebę rozkoszy, których liczba skąpa jest i wiecznie się powtarza, konieczność dziwactw ciągle odmiennych, a zawsze tych samych, świeżych, jak dopiero zerwane róże skojarzeń myśli, za którymi nieodzowne wlecze się zdala poziewanie.

Rzucić na ziemię i stopą rozedrzeć ostatni kwiat, a duszę, niewolnicę zmysłów, wprowadzić do okręgu, gdzie inny leci czas, nie czekający nigdy, który śpieszy się wiecznie na wyścigi z dziką pianą fal, z polotem wiatru i z płomienną błyskawicą. Tam ją przeciwko samej sobie obrócić, aby się poczęła zżerać i trawić, jak w ogniu. Aby zaczęła wadzić się z sobą i ze wszystkimi hasłami żywota. Zgromadzić dokoła niej jedynych sojuszników, jedynych przyjaciół i znajomych współbraci: własne jej siły. W mocną smycz ze skóry uchwycić namiętności, jak psy i suki. W ściśniętej dłoni sforę ich nikczemną i szczekającą zatrzymać.

A gdy to marzył, stanęła przed nim twarda mądrość maga, którą był ongi poznał i dla rozkoszy życia dawno odtrącił. I widział znowu wielmożną myśl Manesa, co się w irańskich przestworach, u jasnych ognisk dobrotliwego ojca Ahuramazdy zapaliła, co się kochała w Baranku Bożym i ku ognistej tarczy słonecznej leciała, wiecznie stęskniona. Wtedy własne jego uczucia wwały się w amfory mistrza, co się zwał Parakletem. Począł dumać o tajemnicy, o skrytym i niezbadanym duchu człowieka, o tym ogniu niebiańskim, pełgającym nad jaskinią.

I widział, jakgdyby w sennych marzeniach, pracę, walki i niedolę pierwszego człowieka, Adama, który po to przyszedł, aby się w nim dokonało wyzwolenie światłości. Duch jego miał zdobyć całkowitą wiedzę o sobie i rozwinięcie całej natury człowieczej. Ale pan mroku, ten, co się z przedwiecznego wroga jasności, z Angramainiu wywodzi, zły duch z czołem, zranionem od pocisku boskich piorunów, umiał temu przeszkodzić. On to dał Adamowi kobietę za towarzyszkę. Nim nastąpiło wyzwolenie światła, Ewa wzniciła w duszy Adama straszną siłę, bezdenną, wszystko niszczącą władzę: miłość. Pod naciskiem tej potęgi Adam rozproszył, osłabił i utracił blask swego ducha. W miłości poczynił dzieci, które były spadkobiercami grzechu i niedoli. A jak było z Adamem, tak było z nim, Dioklesem, dalekim potomkiem.

Wtedy wydarł się z jego piersi głęboki jęk. Jęk żywota. Ujrzał raz na zawsze, że miłość dla kobiety i płodzenie z nią dzieci sprawuje zaplątanie się jasnego ducha w materję. I potrzykroć za prawo nieodwołalne uznał wzgardę rozkoszy cielesnej: pieczęć piersi.

Powtóre w sennem westchnieniu oglądał drugie prawo wielkiego kacerza: oczyszczenie ducha przez wędrówkę z ciał ludzkich do ciał zwierzęcych i roślinnych. I głęboko przejrzał, że dusza zwierzęca jest częstką Boga. Dlatego wyznał wobec siebie, że zabójstwo zwierząt, zżęcie kłosa i otrząsanie owocu równa się morderstwu, ponieważ przemocą wstrzymuje rozwój światłości, uwięzionej w zwierzęciu i w roślinie.

I potrzykroć za prawo nieodwołalne uznał swobodę trzód, pól, gajów, rzek i stepu: pieczęć ręki.

Odtąd utonął cały w nauce wielkiego maga.

I śnił o świętym aniele blasku, jak w postaci węża namawiał pierwszego człowieka, aby zakaz przestąpił — i jak w nim przywiódł rodzaj ludzki do wysokiej świadomości samego siebie;

o jasnym aniele, synu słońca, jak w postaci węża krążył pomiędzy ludźmi, ucząc ich prawdy o naturze człowieczej;

o walce syna słońca, wszczętej przeciw królestwu ciemności, i o zwycięstwie książąt mroku, którzy część słonecznej zbroi objęli w posiadanie;

o tem, jak pan zesłał wówczas na ratunek człowiekowi ducha żywota, siłę, ze siebie samej wynikającą, Egona, który do jarzma wprężonemu prawicę podał.

I oto duch żywota, wsparty przez inne potęgi, zwyciężył wreszcie pana ciemności. Z cielska jego utworzył nocne niebios, a z błysków światła, jakie w niem były, stworzył gwiazdy, w mroku lśniące.

Uwierzył Diokles, że, gdy zupełne oczyszczenie nastąpi, duch jego, jako światłość czysta, wzniesie się ku księżycowi, uleci ku słońcu i wejdzie do królestwa wiecznego blasku. Z nim razem oczyszczać się będą z materji ludzie i wszystek świat, od źdźbła chwiejnej trawy nad wodą aż do gwiazdy, żarzącej się wśród niebios, póki nie wyłączy się światło z mroku. A gdy materyja blask utraci, zamieni się w bryłę martwą i przez ogień będzie pożarta. Dusza każda, która dobrowolnie odda się w niewolę ciemności, karę zasłużoną poniesie i w chwili ostatecznego rozdzielenia królestw będzie do trupiej masy przykuta, ażeby była jej stróżem. Dusza taka stanie się jedno z tem, co za życia kochała...

Tak uczył Manes.

Gdy słońce, gdzie Bóg mieszka w wieczności, słońce, którego natura jest naturą Boga, szło na zachód i w czerwonych piaskach puszczy libijskiej tonęło, Diokles uczuwał w duszy swej tęsknotę, bardziej rozległą i nieobeszłą od pustyni. Gdy zmierzch spadał na rozkwitłe wąwozy Egiptu, zwracał oczy i wargi szepczące ku światłu nocnemu księżycu, co jak namiestnik pilny i dbały dalekiego władcy, obchodził majestatyczne królestwo niebios.

Tak często spędzał noc bezsenną.

A gdy się rozprasała i gdy brzask pasować się zaczynał z cieniami, brał z sobą mały poczet sług i na mule wyjeżdżał.

Mijał wówczas oazę Jowisza Ammona. Nie wabiły go szumiące jej strugi, przezroczyste jeziora, ani cień zmoczonych rosą fig i granatów. Zagłębiał się w dzikie doliny i brnął wskróś nagich, płonnych, niepożytecznych płaskowzgórz, zasianych ostrymi głazami. Tam, w tej ziemi, gdzie każde źdźbło usycha, gdzie już nie może wytrwać cedr ani sosna, między skałami szukał tajemnicy żywota.

Wchodził do jaskiń zatarasowanych, które były mogiłami ludzi pustyni, — i długo patrzył na zwłoki leżące.

Wyschnięte ciała starców stuletnich, chrześcijan i kacerzy, były całe, nie dotknięte przez zgniliznę. Mocno zwarte, suche dłonie ich ścisnęły krzyże swe z drzewa. Palmowy liść, co im za płaszcz służył, skruszył się i rozsypał. Leżeli nadzy. Zdawało się, że śpią, uśmiechając się do widzeń ducha.

Trwali tam setki lat w jamach skalnych ci nieśmiertelni ludzie. Pożywieniem ich był owoc palmowy, napojem woda. Tyle tylko zażywali pokarmu, żeby wydatek sił równy był przychodowi, a osiągnęli tę doskonałość, nie wprowadzając do swego ciała niczego, co gnije, co jest już własnością śmierci. Nie jedli mięsa zabitych zwierząt, nie pili sfermentowanych napojów. Wszelką zgniliznę wydobywali z żył swoich przez mozół nieustający. I wychodziła wraz z potem, który zlewał plecy, ręce i czoła. Siłę życia czerpali z żyjących promieni słonecznych, z jasności powietrza, z woni ziół. Ciało ich było taksamo czyste, jak duch. Częste, długie, z dnia na dzień dłuższe posty uczyniły je niezależnym i nietykalnym. Dlatego śmierci się oparło.

Diokles, opuszczając czerwony kraj pustyni, gdy wracał do pachnących sadów Egiptu, czuł, że jest pośród nich, jak przychodzień z ziemi cudzej...

A gdy jednego dnia sam szedł i miał przekroczyć próg domu, zastąpił mu drogę fellah, oracz ubogi, i rzekł:

— Córnka, którąś mi z chaty wziął do łoża swego, powiła dziecię.

Diokles zatrzymał się u drzwi. W głębinie duszy swej mówił:

— Oto jest pokusa szatana...

A do chłopca rzekł:

— Nie chcę widzieć niemowlęcia. Chcę być sam, sam jeden. Ty z niem uczyni, co chcesz. Wychowaj, albo, gdy ci zawadza, rzuć w wodę Nilu.

Ale wewnętrzne, drżące wzruszenie ścisnęło mu gardło, gdy miał powtórzyć słowa rozkazu. Zapytał:

— Syn?

— Tak jest, o panie.

Wtedy wymówił:

— Chcę go zobaczyć.

I wszedł do nędznej, czarnej chaty nad wodą. Tam ujrzał leżące w łachmanach dziecko swoje. Miało zaledwie parę tygodni. Oczy jego były jeszcze nieruchome, zimne, wrażliwe tylko na światło i mrok. Spojrzał, jak bezradnymi rękoma przestwór chwyciło, i dziwne myśli usłyszał w głowie swej, jakby mu je szeptały do ucha namiętne wargi:

— Może to jest ten, co będzie zastępował cały ród ludzki...

Zdeptaj go, zdeptaj!

— Może to jest ten, który z serca wyjmie iskrę prawdy i piorunem jej ziemię czarną zapali...

Zdmuchnij ją, zdmuchnij!

Może to jest ten, co mrok rozedrze, jak Samson lwa...

Złam jego ręce, złam!

A kiedy stał pochylony i patrzył w maleńkie ciało dziecięcia, płomień radości z jego serca buchnęły. Znalazł już wszystko. Odszukał samego siebie. Nie przewidywał takiego uczucia podobnie, jak nikt nie wie pośród wesela o łzach, a dowiaduje się całej o nich prawdy wówczas dopiero, gdy je w nieszczęściu przyjdzie wylewać.

Szybкими krokami udał się do swej siedziby i wrócił prędko, dzwigając wór pieniędzy. Obsypał złotem matkę niemowlęcia i całą jej rodzinę. Wzamian za syna darował im grunta, na które wylewają się czarne wody. Kupił go na swoją, na niepodzielną własność. Łkając oddawała go matka, ale złote monety, których pełne garści jej rzucił, uciszyły jej boleść.

Diokles wrócił do swego domu z dziećciem i drzwi zatarasował. Czarny niewolnik jeden jedyny miał prawo wstępu do komnaty, gdzie stała kołyska. Gotował mleko, rozcieńczone wodą, przyrządzał kąpiel i lniane chusty. Diokles sam dawał pożywienie synowi, sam go przewijał, kąpał i utulał w płaczu.

Spędzał z nim długie, szczęśliwe godziny.

Gdy dziecię ze snu otwierało oczy i wzrokiem przygasłym śledziło błyski słońca, ozłajające ściany, leżąc na dywanie, głowę kładł przy niem i w małe ciało przelewał swą wolę,

swe myśli i marzenia. Do kruchej piąstki, stulonej jak liść grabowy, co się w dniach wiosennych z pąka wydobywa, przyciskał wargi z błaganiem:

— Synu mój, synu...

Nie chcę, żebyś był panem, którego witają poddani, zginając grzbiety. Nie chcę, żebyś był panem, który może, gdy chce, łzy wycisnąć i uśmiech szczęścia darować stęsknionemu tłumowi. Nie chcę, żebyś był wodzem, którego potęga łamie góry i w skiby urodzajne obraca. Nie chcę, żebyś był królem o prawicy, rozciągniętej nad krajem, gdzie lata kamsin, nad wszystkimi falami Nilu i nad jego deltą, wiecznie kwitnącą. Nie chcę, żebyś był królem, który może wznosić lub zwać Diospolis, Luksor i Karnak, a kładzie się spać na wieki, sam jeden, w czeluściach piramidy.

Synu mój, synu...

Nie chcę, żebyś posiadał mądrość, matkę niewidzialnej władzy nad ludźmi. Nie chcę, żebyś był twórcą potężnym, którego imię powtarzać będą ze czcią i zdumieniem dalekie, obce ludy.

Synu mój, synu...

Pragnę, żeby moje wzruszenia weszły w twe serce, jak iskra ognia. Pragnę, żeby moje męcznie tobie serca nie zraniły, a innych żebyś nie poznał. Pragnę, żeby z ducha twojego wyrosło, jako czyn, moje serce, zdławione rękoma nieszczęścia.

Synu mój!

Bądź czystym, który oburącz wynosi z mroków światło słońca. Bądź mężnym, który śmierć przekłada nad złamanie słów, zaprzysiężonych w obliczu swego ducha. Posiądź uśmiech szczęścia, który warg nie odstępował nigdy, nie odstępował na krzyżu, gdy gwoździe katowskie ręce przybijają do drzewa.

Synu mój!

Dam ci potęgę samotności, której nie miał Adam, pierwszy pracownik. Dam ci potęgę najgłębszą: nie zaznasz miłości dla kobiety. Włożę w twe oczy wyniosły wzrok zwiastuna, który widzi wieczność i drogę idącą ku słońcu za łańcuchami gór.

Posiądź szczęście! Bądź nieśmiertelny sam w łonie swem, bądź wieczny, tu, za życia, i niechaj wieczne będzie twe ciało!

A gdy maleńką dziecięciem opanowywał płacz i gdy krzykiem uskarżała się na ból, czy nudę swoją, wyrwał ze strun lutni głęboką melodię, pierwszy raz przez wzruszone palce w nich znalezioną. Pod wpływem jej dzieciętko się uciszało. W oczach jego ukazywała się zdumiona ciekawość, a na wargach zakwitał uśmieszek niewysłowiony. Uśmiech do dźwięków muzyki, do owych istnień, radosnych od blasku, albo ponurych i strasznych, jak wnętrza trumny zbutwiałej, do rzeczy bezkształtnych, świetlistych, pachnących, gładkich, których byt wspólny z dźwiękami się oznajmiał... Pierwszy uśmiech przychodzi na najmilszego, co ma ta czarna ziemia...

Kiedykolwiek, gdy wśród nocy głębokiej siedział schylony nad kołyską, a przed blaskiem płomienia kryły się po kątach nietoperze cieniów, niemowlę wpatrywało się w te ruchome czarne figury.

Diokles tonął w dociekaniu, jakie uczucia przejmują wówczas serce jego syna. Czy dlań człowiek nie jest tem samem, co cień jego postaci... Pragnął iść za każdym z tych wrażeń, za każdym z westchnień, jak niewidzialny świadek i modlić się z oddali w ostrem zranieniu ducha, ażeby na wzór obłoków, wstających z ziemi i wód o wczesnym poranku, szły do słońca.

Innego dnia siedział na rozciągniętym dywanie, gdy dziecię spało. Zaczęła nad niem krążyć zła mucha. Siadała na małym czole, na licu, na ustach i na zamkniętych powiekach. Wolno rozwarły się oczy niemowlęcia. Brwi jego drgnęły i wejrzenie zgrozy pełne ścigało muchę. Ona krążyła dokoła małej głowy, jakby szukając miejsca, które ma zranić. I nagle zalekniecie spadło na senne oczy, a twarz przeszło, niby strzała ognista.

Diokles stał zdala. Spłecione dłonie przycisnął do piersi i zcicha szeptał:

— Oddał się, zła mucho, zła mucho, straszny zwiastunie. Idą za tobą stada potworów, kryjąc się w cieniach. Przeciwno mnie zwróć żądło twoje. Spraw, niechaj serce me zarobi się i ustanie pod ciężarem bóleści. Niech po każdej nocy poduszka moja mokrą będzie od łez, napróżno wylewanych. Niech każda jutrznia wschodząca w dyby smutku zawiera nogi moje, a zmierzch niech nie zdejmuję z mych rąk — żelaznych kajdan ucisku. Niech, jak badył sitowia pod wiatrem, slania się dusza moja u twardych stóp niedoli, tylko od niego odejdz, zła mucho, zła mucho...

Nastał ów dzień.

Diokles sprzedał dom i pola, które błogosławiony, czarny Kemi zalewa, ciche ogrody nadrzeczne, gdzie kwitły pomarańczowe i cytrynowe drzewa, gdzie lśniące laury zwiększały cień, a nieruchoma brzoza babilońska śliczne gałęzie zginała nad wodą. Sprzedał za bezcen, a pieniądze rozdał garściami nędzaczom na wybrzeżu i u drzwi świątyni. Z niezliczonego dostatku zatrzymał trochę odzieży i parę jucznych mułów. Na wsze strony rozgłosił, że kraj opuszcza i dąży w stronę Arabii.

O wczesnym świcie uciekł z doliny, niosąc syna w zgrzebnej płachcie na plecach. Szedł w stronę przeciwną, w tę stronę, dokąd idzie słońce, na zachód, w puszcę libijską. Szedł długo, aż tam, dokąd już nikt nie chodzi, gdzie na słońcu wygrzewa się samotny lew, gdzie niekiedy przelatuje wskrósł piachów cień sępa i gdzie puhacz chichocze w ciemną noc.

Miejsce to było zavalone skałami. W ich głębi tały się suche jamy, napół przez wydmy zasypane. Niegdyś w ciągu wieków zamierzchłych stada Etyopów wylupywały tam kamień i olbrzymie jego bryły linami, na kołach skrzypiących ciągnęły, żeby z nich wznosić świątynie i piramidy. Stały tam jeszcze otworem głębokie pieczary, gdzie Izrael, kując porfir, lkał pod batem i w nieznanej mowie przeklinał Mizraim, ziemię egipską, dom niewoli. Naokół piętrzyły się rude wzgórza i skalne urwiska, a dalej wędrownie kurhany i zasy piasku, który przelatuje na skrzydłach wichrów po przestrzeni szerokiej. Dokąd oko pobiegło, leżała wszędzie pustynia czcza i ogołocona, morze piasków ciche, nieruchome, w promieniach słońca od soli połyskujące. W tem miejscu Diokles znalazł drzewa palmowe, trawnik i kwiaty, źródło wody krynicznej i suchą jaskinię. Tam rozesał poduszkę z sitowia i na niej ułożył dziecko.

Gdy od tej chwili ćwierć wieku upłynęło, plecy starca zgarbiły się, długa broda do pasa sięgała, ręce wyschły, słuch i wzrok stępsiał. Gasnącem okiem spoglądał Diokles na syna, który go przerósł o głowę. Oczy młodzieńca były czarne i głębokie, jak u matki, a długie, wzburzone włosy były, niby sen, który ją przypominał. Młody pustelnik prócz ojca nie widział przez cały swój żywot ani jednego człowieka. Żyli w skałach we dwu, jak szakale. Czasami, gdy w strumieniu dużo namoczyli liścia palmowego i upletli obfity stos koszów, Diokles brał towar na plecy i siedł w puszcę, nie mówiąc synowi, dokąd się udaje. Kiedy powracał, niósł zapasy i pisma święte.

Pewnego dnia, wstawszy rano, rzekł Jan do ojca:

— Miałem sen dziwny i piękny, jakgdybym w ciągu tej nocy gościł w niebiosach. Zamknąć oczy i raz jeszcze zobaczyć te same widzenia!... Gdy czuję, że się w głębi mego wzroku oddalają, i gdy wstrzymać ich nie mogę, krzyk się z mych piersi wydiera.

Przychodziły do mego łoża i stawały nade mną dziwne istoty, do mnie ani do ciebie niepodobne, choć miały nasze ludzkie ciała. Nigdy ich nie widziałem w pustyni.

Włosy ich były długie... U jednej żółtawe, niby drzewo bukszpanowe, ale połyskujące, jak piaski dalekie o zachodzie słońca.

Druga miała włosy ciemne i wzburzone, jak dym, kiedy leniwie wzbija się kłębam nad mokrem drzewem ogniska.

Włosy trzeciej były czarne, bez blasku, tak długie, tak nieskończone i ciągnące do siebie, jak wielka jaskinia, na której dnie jeszcze nigdy nie byłem.

Szyje ich były okrągłe, cienkie, a tak się zginały, jak u ptaków. Stwory te odziane były w lśniące szaty, które, tańcząc dokoła mojej pościeli, rozpinały wstydliwymi palcami.

Wtedy ukazywały się piersi ich okrągłe, śnieżyste, podobne do obłoczków rannych, które łagodny wiatr z nocnej głębin wynosi. Usta ich były purpurowe, jak kwiat granatu, który jednego dnia przyniosłeś mi zdaleka, stamtąd, gdzie sam bywałeś.

Lekki ruchy, na okrągłych biodrach kołysały się uroczo, jak się kołysze mirt u brzegu krynicy, gdy wicher zimowy nad siedzibą naszą czarne pióra otrząsa. Zbliżały się cicho i z lękiem, wznosiły ręce bielsze od mleka i posłanie me zaścieniały szkarłatnymi chustami. Witały się ze mną łaskawym skinieniem brwi i wątym dreszczem rzes, a oczy zasłaniały liliowymi powiekami, które sieć małych żyłek przecina. Jeżeli kiedy odkryły się oczy ich błękitne albo czarne, to je ocieniała dziwna, mglista zasłona. Płonąca barwa wypływała na ich policzki bez skazy... Wtedy słyszałem jakgdyby liście zcicha szumiące, i zdało mi się, że wymawiają piśczołtliwie me imię. Z ust mych, gdy na nie patrzyłem, wydierało się senne, obumarłe łkanie. Patrzyłem, czyli z ich ramion nie wyrastają skrzydła białe, jak to mówiłeś o aniołach...

Diokles siedział milczący, z głową w dłoniach ukrytą. Rzekał nagle:

— To są szatany.

— Szatany... — konającym głosem powtórzył Jan. Zamilkł w zdumieniu i wzrokiem pełnym bólu przed siebie spoglądał.

Wtedy ojciec jął go zaklinać, ażeby precz wypędzał widzenia czarujące. Błagał go cichymi słowami przez Pana, który jest zawistny miłośnik, przez Pana, który jest waleczny i w walecznym człowieku miłość swą składa.

Syn uwierzył. Często post, nawet od daktylowego owocu, czarty z jego oczu wypędzał. Lecz nie zawsze. Przychodziły doń ciemnymi nocami owe istoty tajemnicze. Stawały przed nim i wyciągały ręce... I nieraz w ciągu dnia, gdy kuł grobowe łożnice dla ojca i dla siebie w twardych pokładach muszlowych, gdzie minione stulecia złożyły szczątki drzew i roślin skamieniałych, przychodziły te same widma, zamglone w szelestach uroczych, w woniach kwiatowych, w ciszy nieruchomej i w łagodnych tchnieniach wiatru. Wtedy pracował w dwójnasób, wtedy dźwięgał olbrzymie bryły zdaleka i otaczał nimi całą oazę. Czynał tak długo i z uporem, póki zemdlony nie padł.

Wysoko weszło słońce i zajrzało do grotu. Diokles spał z rozwartymi oczyma i ustami. Spał na wieki.

Po upływie dni paru, gdy nie dał znaku życia, odniósł go syn do kamiennej trumny na szczycie skał, złożył tam piśczołtliwie i wielkim, ociosanym głazem przywalił.

Teraz był sam w pustyni.

Serce jego pełne było świętego żalu, a dusza na wieki przyrosła do grobowca na skalnej wyżynie. Tajemna, głęboka, niewiadoma siła przyciągała go do tych kamieni na górze, jak bryła bursztynu przyciąga kruszynę żdźbła słomianego. Szedł tam co wieczór i o świcie, siedział w zadumaniu, pełen wzruszenia, które nigdy nie słabło. Lecz w ciągu dnia, gdy się miał pracy, ogarniały go podniety niespokojne i dzikie żądze w nim się burzyły. Tchnęło weń z obszaru, na który padał wzrok, pragnienie, żeby iść, iść daleko, w tę stronę, dokąd chodził ojciec. Wtedy duch jego młody trząsał się i kipiał aż do dna, jak siwe, straszne, oszalałe morze, gdy w nie runą wichry z północy i wichry z południa.

A kiedy zasępiło się niebo i słońce, blask utraciwszy, stało, jak krąg fioletowy; gdy szare powietrze napelniał kurz latający, który opaść nie może; gdy wicher buchać zaczynał z miejsc czarnych i pustych, — wtedy Jan pragnął z nim lecieć, lecieć na koniec świata i uległ podmuchom, jak pajęczyna, wisząca u zrębu pieczary. A skoro wicher przedzierzał się w samum, w straszliwe tchnienie nozdrzy Boga, a wzdęte piachy wydierały się z pustyni, niby cienkie żagle, zaczepione o niewidzialną reję w chmurach, a drugą w głębi ziemi, — wówczas z mroku swojej pieczary widział cudaczne zjawiska. Skalne zręby, gdy w nie wicher uderzał, miotając się i dymiąc, — ziewały, a z paszczy ich strzelał ogień. Ciemność parna i duszna latała nad ziemią, niby skrzydła szatańskie. Przewór napelniał się cały żywicą gorejącą. Marmur, żelazo i woda parzyły rękę. Wtedy ogniowe, ze strony słońca lecące chmury splatały się z łonem piasków rozpalonych, jak ciało, którego piersi były okrągłe, ramiona słodko rozwarłe, a włos falami rozwiewał się po nagiej szyi.

Jan upadał twarzą na ziemię i wzywał ducha ojcowskiego na pomoc. I święta miłość gasiła widma szatańskie. Budziła żądzę czynu, który kiedyś wypełniony zostanie. Czyn ten przed zaśnięciem nakazał mu Diokles, mówiąc:

— Gdy w cichej wodzie źródła zobaczysz, że włosy twe białą śnieg okrył, gdy nogi twe ustaną, ręce zgrabieją i głowy już schylać nie będziesz, przestępując próg jaskini, wtedy opuścisz to miejsce i pójdziesz dniami, nocami w stronę, gdzie słońce wschodzi.

Jan siedział o świcie obok trumny ojcowskiej na wierzchołku skały, gdy oczom jego ukazał się ów widok. Zdało mu się z początku, że to plama, wijąca się w źrenicy, że lew, że stado antylop...

Zbiegł szybko, stanął u drzwi swej groty i patrzył zdumionymi oczyma. Zbliżały się ku jego schronisku myszate wielbłądy z długimi szyjami i pyskiem o wardze przeciętej, miamlącej strawę. Zgrzytał żwir pod ciężkimi nogami ich o nagniotkowej podeszwie. Między garbatymi grzbietami wznosiły się połyskujące siodła, a w nich leżeli wspaniali, znużeni ludzie. Obok dromaderów wlokły się leniwie ociężałe muły, dźwigając pakunki, szły piękne konie o skórze cienkiej, jak u człowieka. Migotała polerowana miedź puklerzów, zwisały się z ramion długie, białe tkaniny i płonęła w słońcu od drogich kamieni zimna, cicha, błękitnawa broń.

Gdy karawana pod cieniem palm zatrzymała się na chwilę i gdy jeźdźcy na wyścigi rzucili się do źródła, nadciągnął jeszcze orszak inny. Sześciu olbrzymich murzynów niosła na ramionach palankin z bambusu. Szkarłatne chusty zasłaniały jego wnętrza, a złota frendzla wlokła się z szelestem po ziemi. Czarni niewolnicy wstrzymali się na chwilę. Zasłona rozsunała się wolno i z poza niej wyjrzały senne, czarne, głębokie, a jakby blaskiem księżycy posrebrzone oczy. Oczy te wzniosły się na Jana...

Błękitna noc okryła pustynię.

Jan zawarł ciężkie drzwi swego schronienia i rzucił się na łożo. Gdy pierwszy sen zaczął kleić jego powieki, dało się słyszeć kołatanie. Wstał tedy i odsunął wrzeczadł drewniany.

Na progu jego jaskini stał człowiek. Serce w pustelniku zadrżało, a tchnienie radości głos mu odjęło. W zachwycającym omamieniu sądził, że to ojciec umarły ciężkie swej trumny wieko odwalił i u drzwi stoi. Lecz ten, kto przybył, rzekł doń głosem cudzym, a głos jego szeptał wdzięcznie, jak szmer strumienia, co się po ostrych kamykach między kępami cyrenejskiego zieleń przelewa. Palce Jana wpiły się w opokę groty, a wicher ognisty wionął przez jego głowę. Zapach cichych i bojaźliwych słów otoczył go, jak woń róż, deszczem zmoczonych, i jaśminów, które się tulą na wiosnę u boku zapomnianej cysterny.

Mówił ten głos:

— Przyszłam do ciebie...

Przez puszcę daleką, przez oschłe piaski dzień i noc biegłam. A razem ze mną toczyło się pustyni ogniste koło i zamykało mię w sobie.

Ale ja szłam do ciebie... Wierzyłam, że cię odnajdę, wierzyłam w to, nie wiem czemu... Raz tylko widziałam twe oczy i twoją czarną twarz, po której coś się przemyka, coś, lżejsze od połysku złota.

Jakże mi się podobał rumieniec, który wtedy na nią wypłynął z głębin twojego serca, podobnie jak ranna zorza wypływa ze słońca, które jeszcze za krawędziami ziemi się kryje! Jakże mi się podobały nozdrza twe, gdy prędko miotać zaczęły oddech gorący! Jakże mi się podobała cera twej szyi nagiej, spalonej, o barwie czarnych róż, które pod moje okna przywozi codziennie z tamtej strony Nilu przekupień grecki, poruszając ciche fale jodłowemi wiosłami, gdy budzą się senne pelikany nad wodą!

Raz cię ujrzałam i już odtąd nie mogłam spać przy matce, w wąskim łóżku dziewczęciem. Jak silny, mściwy bóg, coś ze mnie wydarłeś jednym spojrzaniem czarnych oczu.

Krzywy dziób sępa nie tak chciwie szarpie pisklę synogarlicy, jak błysk twych oczu, napadający w biały dzień i w ciemną, bezgwiezdną noc...

Jan o krok posunął się naprzód i wyciągnął rękę. Chciał zwalić szatana w piersi kamiennym krzykiem, ale tylko szeptał miękki, jak słaby motyl, sfrunął z warg jego:

— Odejdź...

Znowu ozwał się głos:

— Dziecię niewinne!... Święty człowieku, który w puszczy żywiesz i ani jednej zbrodni ludzkiej nie widziałeś!

Trwożne westchnienia płynęły w żyłach mych i sidło strachu ścisnęło mi serce... Drżałam w wahaniu się bezsensnym, bo wielbię wszystko w tobie, nawet świętą dziewiczość twoją. W słodczy zachwycenia paliłam się od westchnień i byłam wszystka, jak płomień nieujęty, co wiecznie przygasa i wiecznie się odradza. Znikałam tak, jak on. Serce, uciemiężone przez pragnienia tajemnicze, przymuszało mię do ciągłych łez nie wiadomo za czem, a żadna uciecha osuszyć ich nie była w stanie. Karmiłam się łzami żywymi, co, jak woda z krynicy, nieprzebrane płyną...

— Królu, z czarnego oddalenia nierychło wschodzący, tronie wieczysty, słońce, które miłujesz potężnych i niezdobytych, kiedyż się rozednieje i kiedyż przeminie władza nocy!...

— Ty, jak powabny, błękitnawy, zawstydzony obłok, zostałeś za mną w dalekiem przestworzu. Nic już nie czułam z żalu. Topiłam się w tęsknocie i blada, bez tchu, przelęknięta drżałam wobec niewiadomych uczynków, które w mem łonie drzemały, poczęte w tej chwili czasu, kiedyś cię ujrzała. I oto jednej nocy kazał mi głos, bym szła do ciebie.

— Waleczny, Skazany, Przybity do krzyża, Ty, co z wieczności wyciągasz prawicę do duchów jasných, wyciśnij pieczęć na piersi mej! Tyś jest mój Pan jedyny i skała moja!

— Słyszę twój głos żebrzący i widzę cię twej postaci.

Czemuż nie zbliżasz się do mnie i nie wyciągasz stęsknionych rąk? Zimno mi. Nędzny mróz obejmuje ramiona moje i ścisną piersi. Chłodna jest w nocy pustynia, tchnie lodem oddech jej wielki. Czyż mię nie weźmiesz do chaty swej, boży człowieku?

Jan szeroko drzwi otwarł, a sam się cofnął w głąb grotu. Stamtąd słyszał, jak suchy, drobny piasek zgrzyta pod skórzanymi ciżmami i jak szeleszczą jedwabne szaty, które poprzedza rozkoszna woń, jakgdyby wątych lilii. Głowa jego upadła na piersi, a ręce znalazły w ciemności krzesiwo, kamień i próchno drzewne. Błysnęła iskra i zatliła lniany knot w misce z kamienia, napelnionej żywicą. Zapalił się duży płomień. Stojąc za nim z przymkniętymi oczyma, Jan słyszał pieszczący głos:

— Pragnę cię widzieć, raz jeszcze cię zobaczyć. Mienisz się w ogniu, jak puhar z kruchoego kryształu. Pozwól mi zabrać i ukryć w sercu blask twoich źrenic, ogień uderzający, co, jak wino z wyspy greckiej, upaja.

Czemuż zamknięte są powieki twe?...

Wtedy wznosił oczy. Usta jego były drżące i wypelzło z nich słowo leniwe, jak wąż, któremu głowę zmiażdżyły kamienie:

— Ojczy, przyjdź mi na pomoc!...

— Czemuż nie mnie pieszczotliwie przyzywasz?

Spojrzenie twe wyteżone jest przeciwko głowie mej, niby cięciwa krzywego łuku. Ostra strzała, która z niego wyleci, zepchnie mnie w wieczny grób! Czemuż mię przerażeniem zdejmujesz i czemu straszny jesteś, jak ryk leopardowy, gdy go w głębokiej nocy słyhać w pobliżu?...

— „Serce czyste stwórz we mnie, Boże, a ducha prawego odnow we wnętrznościach mych!

— Kochanku!

— Tyś to jest szatan?

— Ja jestem tobą samym. Ja i ty to samo teraz jesteśmy. W sercu twem mieszkać pragnę i płynąć w twojej krwi. W czarne oczy twe wcielić się i na wieki pozostać. Czemuż mię szatanem zowiesz? Czyżem nie piękna?

— Piękne są oczy twoje płomienne, które z góry powiekami nakrywasz. I usta, uchylające się na obraz róży młodocianej.

Piękne są ręce, które w tyle głowy splotłaś palcami.

I długie włosy. Płyną, jakby dwie fale, jak czarne wody; z białych ramion na piersi...

Piękniejsze jest czoło twe, niż blask księżycy, między drzewami w nocnym milczeniu. I czarne brwi...

Szyja twa chowa się między piersi śnieżyste, jak wiosenne niebo między dwa białe obłoki. Pachnie szata połyskliwa, którą biodra swe opasałaś. Uśmiech twój we snach widziałem.

Zaklinam cię na imię, które nie może być wymówione, opuść mię...

— Upadł na twoją twarz czerwony ognia blask. Lśni się nad czołem kędzierzawych włosów puszcza. Zabyły oczy twe. Jesteś przeraźliwy i zimny, jako oblicze Anubisa, woda umarłych. O, gdyby mógł rozpaść się w tobie swobodny ogień i gdybyś stał się tak, jak ja, pijany od krwi kipiącej! Lwie pustyni!... Pragnę, żebyś mię słabą pochwycił i dusił barkami, w których się prężą żyły, pełne gęstej krwi!

Chciałabym czuć ramiona twoje wokoło piersi, wokoło żeber, olbrzymie, jak las dziewiczy, skąd widać jedwabne fale morza, co się pieszczą nad burzliwymi głębiami. Na wargach twych parzących, jak węgiel rozdmuchany, zakwitłby cichy, zły, straszliwy, ukochany półuśmiech. Nie wiesz, jak pachnie rozchylająca się róża mych ust. Nagle przyszłoby szczęście, jak niespodziewany z cichego horyzontu powiew kamsinu. Ponure oczy twoje, żelazne oczy tygrysa, co pierwszy raz ujrzały młode jagnięta w dolinie, omdlałyby nade mną. Wzrok twój stałby się długi i przykuwający, jak zapach tuberoz, który nocna rosa wypielęgnowała. Czoło twoje wzniosłoby się nade mną radośniej, niż wietrzyk, przelatujący nad ziemią egipską, gdy zimowy deszcz ustanie. Wielbiłabym straszliwe czyny twoje i wilałabym się pod ramieniem twym, kiedybyś stękał i drżał, jak dąb na szczycie gór wśród huku burzy. Wielbiłabym zapalający ogień w tobie słowem bezwstydnym, co przesywa serce sopłami lodu...

— Słowa twe przesywają serce sopłami lodu...

— Pójdź do mnie! Tyś jest, jak kwiat akacjowy, co z twardej łuski drzewa wyszedł i otworem stoi, spoglądając w ciemną noc. Ja jestem kropla rosy, dla ciebie jedynej stworzona. Posłuchaj, jak leci w żyłach wzdętych rozdzierająca krew. Będziesz umierał na sercu mem i w każdej chwili odradzać się będziesz, gdy usta twe odetchną w moich, a dusza twa w moją wejdzie, jak płomień wchodzi w płomień!

Jan usłyszał w głębi swej duszy słowo:

— Płomień.

To był głos ojca.

I jeszcze raz powtórzył ten sam głos:

— Płomień, płomień!

Wtedy, podniósłszy na nią oczy, Jan rzekł:

— Świętego apostoła są słowa: „którzy takie sprawy czynią, na męki idą”.

Patrzył, jak płonie ogień wieczny i jak się pali grzeszne ciało, które rozkosz nawiedziła. A gdy te słowa wymówił, podniósł rękę prawą i wskazujący palec włożył w płomień ognia, co na misie kamiennej pełgał. I stał tak dotąd nieruchomy, aż się palec zatlił, rozpalil i gorzał.

Wtedy dla wielkiego cierpienia przestał pustelnik czuć rozkosz widoku piękności.

A ona, widząc, co czynił, z przestachu jak kamień się stała. Oniemiały jej usta, upadły bezwładne ręce i z oczu lazurowych życie uciekało.

Z jękiem upadła na ziemię. Włosy jej długie, włosy czarujące, włosy pełne zapachu rozwiały się po ziemi, a łono, siedlisko rozkoszy, druzgotał młot boleści. Blask płomienia padał na jej cudowne ciało. Tak aż do rana w prochu nieruchomo leżała. I aż do rana w milczeniu to samo czynił, aż u prawicy poupalał wszystkie palce.

Wtedy nad nią stanął i mgłami zakryty wzrok schylił ku ziemi, a wyciągniętą ręką uczynić chciał nad leżącą znak krzyża.

Zbielałe usta jego szepnęły:

— Odejdź w pokój.

Kiedy i wówczas nie powstała, schylił się, żeby ją dźwignąć.

A dotknąwszy ramienia, poznał, że umarła.

Wyniósł się tron słoneczny na brzeg daleki piachów pustyni i roztrącił wszechmocnym skinieniem noc zielonawą. Rosy nalistnice szukały przed niem ukrycia w głębinie ziemi

i w komorach pachnących kwiatów. Z wolna posuwał się cień wielkiej skały, który, jak płaszcz szeroki, okrywał leżące przede drzwiami grotu ciało Jana.

Pustelnik spał.

Gorączka krew jego zamieniła w płomień, huczące w żyłach; niby kupa rozżarzonych węgla obiegała czaszkę. W stawy jego kołatały młoty wstrząśnień bolesnych. Spał twardo. Pięść upaloną, rozpuchłą i drgającą tulił do piersi...

Łkał we śnie.

Aż oto tron Pana wstąpił wyżej i cień skały zwinął, jak połę opończy. Promienista prawica słońca spoczęła na czole śpiącego.

Wtedy Jan oczy otworzył, ale wnet zawarł powieki i patrzył w głębinę swego ducha, gdzie wrzała straszliwa burza, jakgdyby samum, rozszarpujący ziemię.

Krwawa pięść Jana wzniosła się w górę, w tę stronę, gdzie na skalnej wyżynie była trumna jego ojca. Spalone usta wołały z krzykiem:

— Straszny i okrutny dla mnie był duch twój, jak struś, co jaje znieś, w piasku pustyni zakopie, a sam ucieka.

Przeklęta niech będzie miłość twa dla mnie, z której poczęła się twoja siła, a moja słabość.

Łakomy zżeraczu i zawistny tępiciele szczęścia, czemuż nie poszedłeś do szatana uczyć się dobroci?...

Dobry jest szatan i państwo Jego rozkoszy: noc.

Niech będzie błogosławiony szept jego cichy i niech zagaśnie w piersi mej płomień twój.

Usta spieczone położył w piasku wilgotnym, gdzie w wyciśniętych śladach małych sandałów stała jeszcze rosa nocna...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/aryman-msci-sie>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, *Aryman mści się* w: *Utwory epickie Stefana Żeromskiego wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia państwa polskiego: Powieść o udalym Walgierzu, Aryman mści się*, Godzina, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa 1929.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: jumpinjimyjawa@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1037-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.